



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

W wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych
po cenie: rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr 3 kop. 60;
kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10

Wydawca MICHAŁ GLÜCKSBURG.

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCE

Ulica Królewska Nr 5.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80
W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół., kwartal. tal. pr. 1
sgr 20.

PIOSNKI RÓŻOWE.

КОСЧАМ.

O, co za szczęście! Czy ja mam dwie dusze?
Czy mam dwa serca? bo podwójnie żyję!
Jakiś czar nowy w duchu nosić muszę,
A dzwon przeznaczeń taktem serca bije.

O, co za spokój! Dusza błękitniej—
Coraz jej głębsze odczuwam przestrzenie;
A chociaż oko wzruszenia lży leje,
To przecież dalej leci me spojrzenie.

Nie widzę tylko w mojej duszy—siebie;
Czuje, że drugi duch ze mną ulata;
Już nie czaruje mnie cudowność świata;
Już znam człowieka i już jestem w niebie!

O, co za cisza! Wszystkie znane tony
W jedną się rzewną harmonią zlewają,
A duch mój, w spokój pieśni otulony,
Słucha melodyi, którą myśli grają.

O, co za słodycz! Z boskiego kielicha
Bóg w moję duszę wlał kroplę miłości:
Więc kiedy westchnie, to miłością wzdycha—
I w tem westchnieniu czuje dźwięk Wieczności.

O, co za wonność! Nieznanego kwiatu
Woń mnie upaja, ucząc być tym kwiatem,

Który przez siłę swojego szkarłatu
Świątą miłością chce zarządzać światem.

O, jaka miłość! Poświęcenia siłą
Biegnie narazić się na losu cięcia,
I nawet wyrzec się chce wniebowzięcia,
Gdyby w tem niebie miłości nie było....

Bóg jest miłością, a jej fala płynie
Przez wszystkie serca i w niebo ucieka.
Boże miłości! błogosław dziewczynie....
Ja kocham Ludzkosc w postaci Człowieka.

Szczęśna.

ZJAZD TOWARZYSTWA PEDAGOGICZNEGO

W TARNOWIE.

(Dokończenie)

Pomyślnie wydają rezultaty pozakładane w ostatnich czasach w Galicyi bursy dla ubogiej młodzieży szkół średnich, np. w Rzeszowie, Tarnowie, Jarosławiu, Przemyślu, Tarnopolu, Stanisławowie, internat Św. Barbary w Krakowie. Choć w bursach tych niejedyn syn nauczycielski znajduje umieszczenie, to jednak nie bywają oni w tym stosunku uwzględniani, aby nauczyciel wiejski mógł napewno liczyć, iż jego dziecko za marnem wynagrodzeniem znajdzie tam umieszczenie. Zresztą opłacanie i tej nieznacznej kwoty przechodzi możność nauczyciela wiejskiego, choćby mu tylko jedno dziecko przyszło w takiej bur-

się umieścić. A cóż począć gdy ma więcej dzieci potrzebujących nauk gimnazjalnych?

W obec tego walne zebranie Towarzystwa Pedagogicznego, w Stryju w roku 1883 odbyte, powzięło następującą uchwałę: Zarząd Główny Towarzystwa pedagogicznego poczyni starania, ażeby w miastach, w których istnieją szkoły średnie i bursy, przyjmowano do tych burs synów nauczycieli wiejskich i małomiejskich; gdzie zaś burs takich nie ma, należy je zakładać i subwencjonować z funduszków Towarzystwa Pedagogicznego.

Uchwała ta, jak dotąd, jest tylko uchwałą i nie wejdzie w wykonanie dopóki Towarzystwo Pedagogiczne nie uzyska na ten cel znaczniejszych funduszy.

Pan Maciowski przedstawił w dosadnych ry-
sach tę sprawę i wykazał, że bez pomocy kraju,
a względnie sejmu krajowego, bursy dla synów
nauczycieli ludowych nie przyjdą do skutku tak
rychło, jakby tego smutne położenie nauczycieli
wiejskich wymagało. Uchwalono następującą re-
zolucyą: „Zgromadzenie, uznając za rzecz wielkiej
wagi wprowadzenie jaknajrychlej w życie zaszło-
rocznej uchwały, powziętej na walnem zgroma-
dzeniu w Stryju w sprawie zakładania burs dla
dzieci nauczycieli ludowych, wzywa Zarząd Głó-
wny, ażeby wszelkimi siłami dążył do jej wyko-
nania. W tym celu wniesie Zarząd Główny do
Wysokiego Sejmu petycją imieniem walnego zgro-
madzenia o wyznaczenie z funduszków krajowych
stałej rocznej subwencyi na zakładanie przy od-
działach Towarzystwa Pedagogicznego burs dla
dzieci nauczycieli szkół ludowych wiejskich i ma-
łomiejskich.“ Jeśli sejm, jak mamy nadzieję,
przychyli się do tej petycji, będzie to znaczne po-
lepszenie materyalnych warunków nauczycieli lu-
dowych w Galicyi.

W pamiętnym dniu 3-im maja założono w r. b. Towarzystwo „Kółek rolniczych.“ Cel tego Towa-

rzystwa określa 2 § statutu: Praca nad podniesieniem rolnictwa i domowego przemysłu we wszystkich gałęziach, tudzież staranie o umoralnienie ludu. Dr. Józef Żuliński przemawiał bardzo wymownie za czynnym udziałem nauczycieli w rozszerzaniu tegoż towarzystwa; wykazał, że w tak krótkim czasie do obywatelskiego obowiązku działania w tym kierunku poczuło się 169 osób stanu nauczycielskiego, z której-to liczby 75 jest założycielami kółek. Jakoż zgromadzenie z poklaskiem uchwaliło następującą rezolucję:

I. Ośmnaste walne Zgromadzenie Towarzystwa Pedagogicznego stwierdza, iż praca około podniesienia moralnego i materialnego ludu jest w najściślejszym związku z obywatelskim powołaniem nauczycieli ludowych; uznaje za rzecz najpierwszej wagi, by nauczycielstwo; nie tylko się nie uchylało od udziału w kółkach rolniczych, ale, gdzie to jest tylko możebne, brało inicjatywę w ich zakładaniu.

II. Walne Zgromadzenie poleca Zarządowi Głównemu, ażeby z organizacją kółek rolniczych zapoznać zechciał ogół nauczycielstwa przez szereg odpowiednich artykułów w „Szkoła” i żeby starał się wejść w bliższe porozumienie z zarządem kółek i temuż użyty wszelkiego możliwego poparcia.

III. Walne Zgromadzenie uznaje za słuszne i pożyteczne, ażeby przy przyznawaniu wszelkich rodzajów odszczególnień i zapomóg nauczycielom, przy równych zawodowych zasługach, odpowiednio władze i instytucje uwzględnić także zechciały, zgodne z powołaniem nauczyciela, obywatelskie prace i usiłowania na polu podniesienia dobrobytu ludu.

* * *

Obecny od pewnego czasu w sali obrad Dr. Majer, prezes Akademii Umiejętności, członek sejmiku, przed opuszczeniem zgromadzenia zabiera głos, mówi o wysokim znaczeniu szkoły, wyraża uznanie dla krzewicieli oświaty, dla której wszelkie możliwe „w opłakanych naszych stosunkach” poparcie przyrzeka; zapewnia, że wynosi najprzychylniejsze wrażenie i dziękuje zgromadzonemu za łaskawe objawy życzliwości.

Dr. Żuliński dał krótkie, ale przychylne bardzo sprawozdanie o Bibliotece matematyczno-fizycznej, wydawanej w Warszawie przy pomocy Kasy Mianowskiego; przedewszystkiem objaśnił zadanie Kasy, jako niosącej pomoc osobom, pracującym na polu naukowym; następnie wyliczył ważniejsze jej wydawnictwa, między którymi nie uszła uwagi zebranych, a zwłaszcza delegatów czeskich, Gramatyka czeska; wreszcie zastanowił się bliżej nad elementarnymi książkami Biblioteki Baranieckiego, zalecając w nich metodę indukcyjną i polecając nauczycielom „Wiadomości początkowe z fizyki” St. Kramsztyka, — „Początki arytmetyki” Berkmana i „Wiadomości z geografii fizycznej i meteorologii” Augusta Witkowskiego. Pewna część nauczycieli zainteresowała się tem wydawnictwem.

Bolesław Baranowski, zaleciwszy na wstępie, aby oddziały Towarzystwa zajęły się jubileuszem Kochanowskiego, referował wnioski członków; ważniejsze z nich, a przyjęte przez zgromadzenie, są następujące: 1) Zasługujący na szczególną uwagę wniosek Ringelheima, domagający się, aby do wykładu religii starego zakonu dopuszczać tylko osoby, które wylegitymowały się przez wykazanie odpowiedniego pedagogicznego wykształcenia; 2) Wniosek Boberskiego wzywający nauczycieli do współudziału i poparcia Wystawy pszczołniczo-ogrodniczej i przemysłu domowego, zapowiedzianej na koniec Września r. b. w Tarnopolu; 3) Wniosek Wasunga, wcale nie na miejscu będący, naszym zdaniem, domagający się obustronnej kary sądowej za ublizenie nauczycielowi w szkole w czasie pełnienia obowiązków. Czyż nie można tego było na innej drodze załatwić? Na zjeździe dorocznym, podejmowanym przez publiczność, gdzie się tyle mówi o moralnem stanowisku nauczyciela w szkole, przytem wobec delegatów czeskich, nie wypadało kuć broni przeciw

publiczności i przyznawać się do bezsilności moralnej nauczyciela.

Prezes Towarzystwa zapowiedział następne walne zgromadzenie w Przemyślu; w dłuższem przemówieniu zsummował obrady, starając się nadać im cechę wyższych celów i dążeń, zatrzeć szorstkości, jakie się w ciągu tych trzech dni uwidatniły; zrobił nacisk na moralne stanowisko nauczyciela w szkole i wykazywał, że tylko przez podniesienie ludu, wiedzie droga do podniesienia stanowiska nauczyciela ludowego; powołał wreszcie nauczycielstwo do pracy przez rok następny pod hasłem: W górę serca!

Zaczelismy niniejsze sprawozdanie od opisu przygotowań niezwykłych na przyjęcie gości w Tarnowie; kończymy je wspomnieniem pamiętnej wycieczki i uroczystego festynu. W drugim dniu obrad wyjechalismy koleją do Słotwiny, a ztamtąd, na 60-iu podwodach, przez Brzesko do Okocima, majątności p. Götza, pierwszego piwowara w Galicji, który dał dowód nadzwyczajnej gościnności, niczego nieszczędząc na przyjęcie 400 przeszło osób. Wspaniała była uczta pożegnalna, dana przez miasto w salach kasyna, na której wygłoszono wiele pięknych i serdecznych polskich, czeskich i rusińskich toastów. Wynieśliśmy miłe wrażenie i to niezbite przekonanie, że węzłom pokrewieństwa plemiennego przychodzą silnie w pomoc węzły pokrewieństwa zawodu, celów i dróg, które się ku celom tym wybiera.

VIII.

Dokończenie.

Opisaliśmy w krótkości sam zjazd; lecz przez to nie dobiegliśmy jeszcze do końca: nie możemy pomijać rzeczy, które do jego uzupełnienia służyły lub też które bezpośredni z nim mają związek.

Był to zjazd członków Towarzystwa Pedagogicznego: nie podobna więc nam pominąć postępu Towarzystwa, stanu jego obecnego, czynności Zarządu Głównego, jako organu tej instytucji. Liczy ono obecnie 2,700 członków, którzy stanowią czterdzieści oddziałów z 80 kółkami pedagogicznymi; majątek Towarzystwa wynosi do 23 tysięcy złr. Wprawdzie wielu bardzo członków zalega w składkach, wprawdzie w rachunkach niektórych oddziałów wykazują się wpływy do Zarządu Głównego w kwotach, na centach się tylko ograniczających, co nawet i na ostatnim zjeździe było z naciskiem podnoszone; jednakowoż są inne różne wpływy, jak subwencja Wydziału Krajowego, zysk z wydawnictw, a zwłaszcza dar Stanisława hr. Badeniego, który, objawszy godność Członka Rady Szkolnej Krajowej po śmierci H. Szmita, coroczną pensją swoją 1,200 złr. oddał w ręce Zarządu Głównego, z przeznaczeniem na zapomogi dla nauczycieli ludowych. Towarzystwo kieruje wyższemi szkołami żeńskimi: w Jasle, Kołomyi i Stryju; mówimy kieruje, gdyż fundusz na utrzymanie tych szkół płynie głównie z zapomóg władz i instytucji miejscowych. Również przy pomocy takich subwencji towarzystwo mogło nader czynnie rozwijać szkoły przemysłowe, które istnieją: w Drohobyczu, Jarosławiu, Przemyślu, Rzeszowie, Sokalu, Stanisławowie, Tarnowie (przemysłowo-handlowa), a z dniem 1-ym Września r. b. ma być otworzona szkoła w Brzeżanach; liczymy 8 szkół, rozrzuconych po kraju, w których blisko 1,000 młodziemz rzemieślniczej nauce pobiera. Zasługa w tem wielka członków Towarzystwa, którzy bezinteresownie nieraz prowadzą wykłady w tych szkołach; w ogóle okazują oni, w niektórych Oddziałach Towarzystwa, powtarzamy — w niektórych, chwalebna ruchliwość, co widzieć można ze sprawozdań tych oddziałów, pomieszczonych (jak co roku) w „Sprawozdaniu z czynności Towarzystwa Pedagogicznego za czas od 1-go lipca 1883 do 1-go lipca 1884;” naliczyliśmy tam np. blisko 300 odczytów i rozpraw, jakie na zgromadzeniach miały miejsce. Życzymy, aby Towarzystwo dalej się rozwijało, aby obudziły się te oddziały i kółka, któ-

re istnieją nominalnie tylko; a czuwać potrzeba, bo nauczyciele szkół średnich zawiązali oddzielne stowarzyszenie, bo nauczyciele rusińscy od paru lat robią kroki celem założenia także oddzielnego Towarzystwa, bo w samem łonie Towarzystwa tętnią nowe kierunki i sily, jak komitet wiecowy, jak nowe czasopismo „Głos nauczycielski”, tego dowiodły. *Caveant consules!* wołały niektóre czasopisma galicyjskie. — Co się tyczy Zarządu Głównego z siedzibą we Lwowie, ten corocznie, a nie mniej i w roku bieżącym, wykazuje postęp i zasługi na polu pedagogicznem. Obok wydawania czasopisma „Szkoła” i różnych wydawnictw, których cyfra do 159 już doszła, Zarząd podejmował i przeprowadził z pożytkiem wiele spraw, które nie będą zapomniane w historii szkoły. Podjął np. w przeszłym roku jeszcze, głównie za staraniem wice-prezesa Gerstmana, myśl kolonii letnich i przeprowadził ją w sposób nadzwyczaj pomysłny. Kiedy władza szkolna pozbawiła naraz chleba przeszło dwustu młodych nauczycieli i nauczycielek, znosząc oddziały równoległe w szkole ludowej, Zarząd Główny, jako reprezentacja całego nauczycielstwa w Galicji, wysłał deputację, która uzyskała od pana Namiestnika cofnięcie tej decyzji. Kiedy agitowała się w sejmie kwestya „szkół posiłkowych”, w których-by mogli pełnić służbę nauczyciele niekwalifikowani Zarząd Główny działał energicznie, aby przekonać posłów o szkodliwości tego projektu: jakoż projekt nie przyszedł do skutku.

Tylko parę słów jeszcze wypada nam powiedzieć o „wystawie robót kobiecych szkoły wyższej krakowskiej” urządzonej w Tarnowie w czasie zjazdu. Kraków, Rada Miejska Krakowska zajęła się bardzo czynnie i skutecznie ułatwieniem kobietom nauki w kierunku praktycznym. Wysłana kosztem miasta do najlepszej szkoły robót kobiecych w Niemczech, do Reutlingen, p. Mayerberg wykształciła się na wyborną nauczycielkę; w Wiedniu zaś kształciła się w tym kierunku p. Żarska. Specyalność ich pomogła znacznie do szybkiego rozwoju kursów fachowych założonych w r. 1882 przy szkole 8-klasowej żeńskiej, na wniosek dyrektora tejże szkoły Antoniego Gettlicha. Ze szkoły tej, o ile nam wiadomo, czerpie informacje zakład hr. Platerówny w Warszawie. Wystawa tej szkoły w Tarnowie nie oślniła nikogo dekoracją, pozorami, bo też nie była na to obrachowana; ale przejęła każdego przekonaniem, że dziś nawet nauka najwyuczajniejszych robót kobiecych została ujęta w metodę, zamienioną na aparat pedagogiczny użytkowany na korzyść władz umysłowych uczących się. Nie chcąc się wydawać przed łaskawymi czytelnikami z niekompetencją w tej sprawie, odsyłamy je do „Pierwszego Sprawozdania dyrekcyi szkoły 8-klasowej żeńskiej o kursach fachowych za rok szkolny 188²/₃”.

Autora niniejszego artykułu spotkał prywatny zarzut, jakoby w Nr 36 „Bluszczu” wygłosił zdania nieprzyjazne kobietom. Nie poczuwając się do tej winy, upraszamy o łaskawe zrozumienie intencji całego sprawozdania, o ściśle odczytanie inkryminowanego ustępu. Uznanie nasze dla rzetelnej pracy kobiet pokazuje się choćby z tego, cośmy właśnie o owej wystawie robót gdzieindziej już („Kurier Warszawski Nr 239b”) powiedzieli, a tutaj z przyjemnością powtarzamy: Opuszciliśmy wystawę z tem przekonaniem, iż kobiety mimo osławioną niesystematyczność i dowolność potrafią przejąć się metodą i zastosować ją z całym rygiorem, nawet tam, gdzie dotąd dotychczas, przewoźniczo postępowano. Nie rzemieślnicza tylko wprawa w robocie, ale kształcenie rozumu, samodzielności, smaku estetycznego, zadaniem jest tej szkoły fachowej; nie ręce tylko do pracy, nie rzemieślniczkę tylko, ale istotę myślącą nauczycielka robót widzi przed sobą.

KTÓS

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

Przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

„Zato próżno szukałem pomnika dla spalonego Savonaroli. Na tego czas jeszcze nie przyszedł.

„Włóczę się po mieście—myślałem: na coby się ono teraz przydać mogło?

„Doskonałe schronienie dla inwalidów wszelkiego rodzaju — cicho — a jest na co patrzeć i czem się rozkoszować, nie nie robiąc.

„Nasz wiek jest wiekiem, w którym tych inwalidów musi być mnóstwo. Zmienia się i zmieniało tak szybko tyle urządzeń, trybów życia, obyczajów, iż wiele słabych istot musi wykołejonych pozostać na gościńcu. Schronienie we Florencji jest dla nich. Klimat wprawdzie lepszy w Pizie, ale tam smutniej jeszcze. Do Pizy się już jedzie, nie żyć, ale umierać.

„Z ogólnego widoku ulic, cascín, ogrodów, restauracji, galeryi—przekonywam się, że napływ cudzoziemców jest tu teraz—chyba mniejszy.

„Nawet Anglików nie tylu, nawet Amerykanów bogatych, którzy robią miliony w nowym świecie, aby je trwonić w starym—mniej spotykam. Jeszcze parę dni pobłądę trochę wśród tej ciszy i—dokąd?—Naturalnie, że do Rzymu.

„Łatwo się domyślam, że ten mi się wyda, jeszcze bardziej zmienionym, lecz w sposób wcale różny. Florencja opustoszała, Rzym ożył, zaroił się ludźmi niestworzonymi, aby tu żyli. Gospodarstwo nowe.

„Nie wiem czy przypominasz sobie, że w Niemczech u chłopów jest obyczaj, gdy się sprzedaje chatę i grunt obcemu, dożywotnio starym co do nich nawykli, zostawiać kątek, dla—zowią się, jeśli się nie mylę: *auszügler*? Takim starowiną *auszüglerem* na łasce i dożywociu jest teraz papież—głowa Kościoła, u którego stóp niegdyś cesarskie korony w proch padały.

„Można westchnąć nad tem—ale jest aureola, co taki upadek pozorny otacza; co wielkim czyni umiającego nosić godnie potęgę ubóstwa i potęgę bezsilności fizycznej.

„Jedźmy więc do tego Rzymu, o którym tu mi już mówią, że go nie poznam. Wątpię, ażeby nowe życie uroku mu dodało.

„Rzym... prawie zawsze człowiek ma talent, odgadując przyszłe wrażenia, omylić się na nich. Nie dziwię się, że taką czią otaczano zawsze proroków, wieszczów, jasnowidzących — niema nic trudniejszego nad przewidzenie przyszłości w drobnych, równie jak wielkich rzeczach. Człowiek najczęściej się gwałtownie napiera tego, co mu ma zaszkodzić, odpycha to, co-by pożytecznym być mogło. Wyobraziłem sobie Rzym pod uciskiem niezblaganych wymagań teraźniejszości—inny.

„Zmienił się — prawda — lecz w głównych ry-
sach, które wieki rzeźbiły, pozostał sobą. Widzę wiele nowych postaci, ale z poważnych ruin mało mi wyszczerbiono. Cóż z Łaźni Dioklecjana. Zato widzę dużo odkopanego świeżo, odkrytego, zdobytego zpod warstwy prochu nagromadzonej wiekami, a na kilkanaście stóp już grubej. Z tych pyłów unoszących się w powietrzu, które połykamy — wyrosła cała warstwa mogilnej ziemi na przysypianie przeszłości i zachowanie jej—dla archeologów.

„Al! ci archeologowie,—gdy z powagą urzędową tłómaczą użytek obłamka bronzu lub żelaza, który do tysiąca rzeczy mógł być przyczepionym?...

„Wyobrażam sobie zabytek naszych prozai-
cznych czasów, odkopany za lat parę tysięcy—
jak o nim pisać będą rozprawy. Było li to ucho
od dzbanka czy rączka od patelni?

„Nigdy się ludzie tak zapamiętale w przeszło-

ści nie grzebali, jak teraz — znak-li to, że tera-
źniejszość niewiele warta? Pocciwy nasz Dłu-
gosz urny dobywane z ziemi miał za produkt na-
tury! Wielbiono w nich wszechmocność Bożą—
nie domyślano się przedhistorycznych garnarzy—
a dziś! czegośmy to nie doszli?

„Ludność teraźniejsza Rzymu, oile mogę roz-
różnić, dzieli się na dwie klasy, w zupełnym
z sobą antagonizmie zostające — jedna z nich po-
została wierną dawnemu panu i tradycjom, dru-
ga otacza nowe państwo i broni praw narodo-
wych. Jest wiele poszanowania godnego w pierw-
szej, jest życie gorące w drugiej.

„Wszystkie dotychczasowe usiłowania pogo-
dzenia dwóch skrajnych obozów rozbiły się o —
non possumus. Lecz ten smutny wyraz brzmiał
głośno z początku, dziś coraz ciszej się odzywa.
Protest pozostanie wpisanym do akt, a życie, życie
znajdzie sobie — *modus vivendi* — czy — *modus moriendi*?

„Wspaniały, piękny, wielki zawsze jest Rzym,
a najlepszym dowodem potęgi jego, zaczerpniętej
z tradycji, jest to, że rzeczywistość go pokonać
nie mogła. Jak mrówki, kręcą się nowi ludzie
na tych niepożytych ruinach.

„Wygodniej jest podróżnemu teraz tutaj, niż
gdyśmy my przebywali. Gospód się namnożyło—
ale i cudzoziemców, przynajmniej w powszednich
dniach, jest więcej, choć ich wielkie uroczystości
i dawne daty nie wabią, bo Watykan jest jakby
w żałobie. Papież, zamknięty w nim, nie poka-
zuje się poza murami świątyni i pałacu. Zresztą
w nim nic się nie musiało odmienić. Teżsame
widzę gwardye w średniowiecznych strojach,
podkomorzych w ich kostiumach malowniczych,
służbę.

„Pielgrzymi płyną, jak dawniej, tysiącami, z tem
większą pobożnością, że ten, któremu pokłony bi-
ją, jest rzeczywicie jakby więźniem — swojego
obowiązk. Nie Włosi go zamykają w tych mu-
rach, ale poczucie godności własnej i wielkiego
spadkobierstwa. W okolicy jeszcze nie wyjrza-
łem dalej za Via Appia“.

Na tem kończyła się ostatnia, nadesłana Wojt-
kowi, notatka. Powróciwszy ze swej wycieczki,
dowiedziawszy się o wszystkim, Wierzbęta tak
był dotknięty boleśnie losem, jaki spotkał Micha-
linę i Sylwana, że nazajutrz zachorował. Słabość
przeciągnęła się tygodni kilka — przyszła rozwa-
ga i nowa chęć służenia przyjacielowi. Nie zanie-
dował więc Wierzbęta starań o odzyskanie praw
urodzenia dla Horpińskiego; powierzył sprawę
biegłemu i czynnemu juryscie; sam ofiarował
sięłożyć na koszt i — przy neutralności z ja-
ką się zachowali panowie Nitolsławscy, nie trudno
było doprowadzić do skutku uznanie pierwszego
małżeństwa.

Wojtek spodziewał się po gwałtownych sztur-
mach, jakie listami przypuszczał do Sylwana, na-
głać o powrót, iż się go doczeka w Makolągwie,
i choć tem, co zdobył, pocieszy go i do życia doda
mu siły i ochoty. Nie przestał więc pisać, posyłać i
zaklinać Sylwana, aby przybywał do niego; lecz
długo żadnej nie otrzymywał odpowiedzi.

Przestały przychodzić listy z Włoch, co się
zdawało oznajmywać, iż Horpiński był na drodze
do kraju, ale tygodnie upływały, a ani on, ani
wiadomość o nim nie przyszła żadna. Wojtek,
pomimo, że mu dawno wypadało być w Zaborowie,
ociągał się z temi smutnymi odwiedzinami.

Naostatek interes jakiś bytności jego wymagał
nagle; został zmuszony się tam stawić, choć z bó-
lem w sercu. Wiedział, że pocieszającego nic go
nie spotka.

Oprócz żałoby, w którą służba była ubrana, nie
się tu nie zmieniło.

Naprzeciw gościa wyszedł, wyswieżony, z baty-
stową chusteczką w ręku, z twarzą białą, szty-
wny baron i przyjął go z przesadną, nadzwyczajną
grzecznością. Szcześliwego nowożeńca trudno
w nim odgadnąć było. Po chwili rozmowy
z westchnieniem oznajmił gospodarz Wierzbęcie,
iż żona jego była ciągle jeszcze cierpiącą, że
śmierć matki wywarła na niej tak bolesne wra-
żenie, iż dotąd niczem przeciwko niemu niepodo-
bna było oddziaływać.

Życzył sobie koniecznie namówić ją, aby z nim
wyjechała dla rozerwania się, naprzód do Wie-
dnia, do ojca, potem do Włoch. Wiele rachował
na tę podróż.

Oprócz smutku na młodym baronie widać było
niezmierne zuudzenie. Nawykły do innego try-
bu życia, do ruchu, do rozrywek, do gwaru, do
nowości, zamierał w tej atmosferze zastygłej, mil-
czącej, zimnej. Wzrok jego był jakiś bezmyślny,
w rozmowie mało udziału brało uczucie.

Siedząc w salonie z Wojtkiem, ciągle na drzwi
spoglądał i nasłuchiwał. Pani Michalina długo
nie wychodziła, a czas ten, aż do jej ukazania się,
wydał się Wierzbęcie wiekiem, tak z Wiedeń-
czykiem trudno było znaleźć coś dla niego inte-
ressującego—czemby rozmowa się zasiłić mogła.

Ubrana w żałobę, blada i mizerna, pocichu we-
szła młoda baronowa, witając głosem słabym nie-
śmiało gościa. Uderzyło Wojtkę, że twarzyczka
jej śliczna, nabrała wyrazu nowego — oczy zda-
wały się powiększone — jakiś rodzaj przestachu
malował się na niej. Za najniższym szmerem
i odgłosem silniejszym drgała i wzrokiem obiega-
ła dokoła. Dawna jej łatwość mówienia, bogac-
two myśli, wesołość dziewczęca, zmieniły się w za-
myślenie rozpaczliwe, w obojętność jakąś, w stan
nienaturalny i zbolący.

Baron, doczekawszy się jej, ożył trochę. Z wiel-
ką troskliwością posadził ją, podał stołeczek pod
nogi, przyniósł szal, znajdując, że może było chłod-
no — i dopełniwszy tych obowiązków, począł się
przechadzać po salonie, nie okazując wielkiej
ochoty mieszania się do rozmowy.

Szła ona, jak z kamienia: Wierzbęta mówić
ani pytać otwarcie nie mógł, pani Michalina była
milcząca. Naturalnie, o Sylwanie wspomnieć się
nawet nie godziło. Baron, chociaż nadzwyczaj
grzeczny, nie nie czynił, aby gościowi i żonie do-
pomódz — ożywić stygnące pośłowa.

Michalina wreszcie o matce i jej ostatnich go-
dzinach nieco opowiadać zaczęła, ze łzami na
oczach, czego dosłyszawszy mąż, schylił się ku
niej, pocałował w rękę i prosił, aby się bolesnymi
wspomnieniami nie poruszała — gdyż to jej zaw-
sze szkodziło.

Przybycie proboszcza, trochę ożywiło rozmo-
wę; ten potrafił barona zająć jakimis wiado-
mostkami, a pani domu dozwolił poufniej się roz-
mówić z przyjacielem. Zapytała go: Jak dawno
miał wiadomość od Sylwana i co się z nim działo?
Wojtek musiał się przyznać, że listy, od Rzymu
począwszy, przestały przychodzić, że się go spo-
dziewa z powrotem.

Nie potrzebował też tać przed nią, że nadzw-
yczajny zbieg okoliczności dozwolił mu przywró-
cić Horpińskiemu prawa urodzenia i nazwiska.

Oczy Michaliny, gdy słuchała opowiadania, na-
brały nadzwyczajnego blasku: zarumieniła się,
a potem nerwowe drżenie mięśni twarzy —
okazało jak była poruszona a pracowała nad so-
bą, aby tego nie okazać.

Wierzbęta skończył pośpieszną trochę relacją
swą, której lękał się, aby mu nie przerwano; mło-
da pani długo mu ani słowa odpowiedzieć nie mo-
gła. Wyciągnęła tylko rączkę i cichym uściskiem
podziękowała.

— Jak pan sądzisz? co on teraz pocznie? — za-
pytała. — Gdzie zamieszka?

— Nie wiem nic — rzekł Wojtek — czekam na
niego. Listy z Włoch były bardzo gorącą prze-
pełnione, lecz spodziewam się, że to przejdzie.

Michalina bystro spojrzała mu w oczy.

— Sądzisz pan, że to przechodzi? — zapytała.

Zaproszony na obiad Wierzbęta — pozostał.
Gospodynii domu zwolna się ożywiła nieco, pan
baron także, zobaczywszy promyczek jaśniejszy
na jej twarzy — stał się rozmowniejszym i śmiel-
szym. Pomimo to w domu panował jakiś chłód,
pewna niesforność, wahanie się, nieobycie z ży-
ciem wspólnem małżonków, dające się czuć we
wszystkiem. Pani odwoływała się do męża; ten
nie wiedział i nie chciał sobie radzić, tłómacząc
się tem, że do życia wiejskiego był nienawykły.

Z obiadem musiano trochę czekać, na jeszcze
jednego zaproszonego z sąsiedztwa, przebywają-
cego w okolicy Warszawianki, który w krótkim
czasie potrafił sobie zdobyć wielką przyjaźń ba-
rona. Był nim — pan Emil Paczuski, również za-

dowolony z barona Alfreda, jak on z niego. Michalina zdawała się też rada, że męża jej zabawił i przywoził z sobą trochę życia. Nadjechał późno, gdy już miano iść do stołu, wesół, roztrzepany, kontent z siebie i z roli, jaką tu teraz mógł odegrywać. Kieszonkę miał pełną plotek.

Miedzy innymi przywoził i tę zdumiewającą, której wierzyć nie chciał, że tajemniczy Horpiński, tak nadzwyczajnie podobny z twarzy do Nitosławskich, okazał się teraz ich bratem, z pierwszego małżeństwa, które dopiero niedawno odkrytem i przyznanem zostało.

Mówiąc o tem, Emil patrzył na gospodynię domu, która oczy miała spuszczone, nie okazując ani zdziwienia, ni ciekawości i—dodał:

— Ale to jest bajeczka, którą się komuś wy myśleć podobało niezręcznie, opierając się na podobieństwie fizioonomii. Po tylu latach—odkrycie zatajonego pochodzenia—to, do niczego niepodobne.

— Przepraszam pana — wtrącił Wierzbietę—mogę jaknajuroczyściej poświadczyć, że to jest najprawdziwszą prawdą. Nitosławscy nie przeczą temu, i rzecz nie ulega wątpliwości. Niedawno odbywszy podróż na Ukrainę, przekonałem się o tem na miejscu.

Pan Emil trochę się zdziwił tak kategorycznemu twierdzeniu, ale wkrótce dodał wesoło:

— To mnie bardzo cieszy. Pan ex-Horpiński będzie mógł teraz zająć śmieiej należące mu w społeczeństwie naszym miejsce. *C'est parfait.*

Nie widać jednak było po Paczuskim, aby go te wistocie radowało wielce. Chciał przeciągnąć rozmowę w tym przedmiocie i badać Wierzbietę, ale ten się nie dał wyzyskać i zaczął mówić o czem innem.

Paczuski i gospodarz domu, jakby się o to umówili zawczasu—rozmowę o konieczności pobytu w mieście na zimę—zagaili. Obaj się zgadzali na to, iż wieś zimą była nie do zniesienia. Emil Paczuski mocno obstawał za Warszawą, baron przemawiał za Wiedniem, o którym mówił z takim zapalem, że go odżywnego trudno teraz poznać było—*Es giebet nur a Wien!* powtarzał uniesiony.

Michalina słuchała obojętnie, ale się nie sprzeciwiała. Wyzwana wprost o powiedzenie swego zdania, uśmiechnęła się, twierdząc, że wszystkie większe miasta europejskie dla gości do nich przybywających kubek w kubek były do siebie podobne. Wolałabym jednak Warszawę—dodała pocichu.

(Dokończenie nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Lwów w Sierpniu 1884 r.

Kłeska powodzi.—Regulacya rzek.—Kolonja wakacyjna.—Zakład wychowawczy p. Boberskiej.—Sprawa nauczycielek szkół ludowych i wydziałowych na Zjeździe pedagogicznym w Tarnowie.—Opozycja przeciw oświacie kobiet.—Nowy gmach Towarzystwa Gimnastycznego.—Przewodnik gimnastyczny.—Ślizgawka.—Literatura.—Wydawnictwa Gubrynowicza i Schmidta: *Listy Zygmunta Krasińskiego*, tom drugi — *Nowe opowiadania Wł. Narwoja*, przez Władysława Łozińskiego. — *O architekturze i budownictwie w dawnej Polsce*, przez Juliana Kolarzowskiego. — *O zależności zdrowia naszego od wpływów powietrza*, rozprawa Dra Wojciecha Urbańskiego.—*Dar ś.p. xiędzia Formanjsza dla Biblioteki uniwersyteckiej.*

Straszliwa klęska powodzi, która tegorocznej wiosny nawiedziła Galicyę, pozostawiła po sobie nadług pamiętne, niedające się rychło uleczyć skutki. Głód i rozpacz ogarnęły na razie ludność dotkniętą klęską okolic. A co gorsza, że powódź powtórzyła się częściowo po pierwotnym wylewie, w parę tygodni po żniwie w niektórych okolicach, i z gruntów, które już zasiano dającemi się jeszcze w tej porze uprawiać roślinami pastewnymi i okopowemi, zabrała ponownie to wszystko, unosząc z sobą wszelką nadzieję zubożałego włościanina. Nadbrzeża Wisły, Sanu, Dniestru i ich dopływów górskich przedstawiają dziś

jeszcze widok spustoszenia dokonanego powodzią. Pola puste, łąki zamulone, a nasuwające się samo przez się pytanie: co to będzie w zimie, jak zaradzić niedostatkowi żywności dla ludzi a paszy dla bydła?—powiększa jeszcze grozę położenia.

Ale, że niema tego złego, coby na dobre nie wyszło, tak też i tym razem sroga klęska to przynajmniej dobrego zrobiła, iż przekonała o konieczności energicznego przedsięwzięcia systematycznej regulacyi rzek całego kraju, o czem wprawdzie oddawna myślano i mówiono, ale to wszystko z niemiecką iście flegmą. Powodzie miejscowe i szkody powtarzały się ciągle; ale, że nie były tak ogromne, jak obecnie, przeto kwestyą regulacyi wód uważano u nas, rzecz-by można, za teoretyczną raczej zabawkę, niż za rzecz tak wielkiego znaczenia, jaką jest wistocie. Dopiero straszna klęska tegoroczna, przybrawszy niesłychanie wielkie rozmiary, otworzyła oczy tak władzom krajowym, jak i stronom interessowanym, i pobudziła do energicznego spólnymi siłami działania. W okolicach nad brzegiem rzek położonych zawiązują się spółki wodne właścicieli gruntów, celem regulacyi łącznie na szeroką przedsięwziętą skalę; Bank Krajowy dostarcza im rozległego na ten cel kredytu w ułatwionych warunkach, rząd przyczynia się subwencją do wysokości trzeciej części kosztów, a zbierając się we Wrześniu Sejm będzie miał pierwszą na porządku dziennym obradę sessyi tegorocznej do załatwienia sprawy uzupełnienia tej kwoty, przez uchwalenie odpowiedniej na tenże cel z funduszy krajowych dotacyi, i ujęcia rzeczy całej w ramy ustawodawcze. A więc niema tego złego, coby na dobre nie wyszło; chociaż tym razem złe jest bardzo ciężkie.

W przeciwnościach wyrabiają się charaktery, wzleć przygodzie poznaje się przyjaciół. Podobnie i w tem nieszczęściu objawiła się w pięknie świetle ofiarność obywatelska. Zawiazane w pierwszej chwili komitety we Lwowie, Krakowie i po powiatkach zajęły się z jaknajwiększą gotowością dostarczeniem na razie żywności i wszelkich środków ratunkowych załanym okolicom, a następnie—wyjednanie dalszej pomocy z funduszy publicznych. Wydział Krajowy zajął się ułożeniem wykazu szkód w każdej okolicy zrządzonej, aby przygotować sejmowi podstawę do powzięcia stosownych uchwał w tym przedmiocie, co nim nastąpi, Wydział czyni tymczasem sam, co może, w zakresie poruczonej mu władzy, dla ulżenia smutnego losu ludności okolic powodziami dotkniętych.

Podczas gdy skutki doznanej klęski dają się uczuć całemu krajowi, znajduje się przecież jeden zakątek w ustroniu górskim, dokąd smutne echa tych wrażeń wcale nie dobiegają, i nie mając wesołości młodziuchnego grona, tworzącego ów oddalony od wszelkiego zgiełku i złych wieści, odosobiony szczęśliwy światek za górami. Łatwo się domysleć, że mówię o kolonii wakacyjnej, którą po zeszłorocznej, bardzo pomyślnej, próbie urządzono z pewnemi reformami, wprowadzonemi na podstawie zeszłoroczego doświadczenia. Dzięki ludziom dobrej woli, chcących się przyczynić do uprzyjemnienia biednej dziatwie szkolnej pory wakacyjnej, posypały się dosyć obficie datki i uzbierano fundusz dostateczny na urządzenie dwóch właściwie kolonii, t. j. chłopców i dziewcząt; a komitet zajmujący się organizacją tych kolonii postarał się o pomieszczenie jednej i drugiej w okolicy górskiej, w miejscach ze wszelkim miar celowi odpowiednich. W roku obecnym nie tylko już same ubogie sieroty korzystają z dobrodziejstwa kolonii; ale znalazło się wiele zamożniejszych nawet rodziców, którzy wyjednali sobie przyjęcie ich dzieci do kolonii wakacyjnej za opłatą, widząc jak tam dobrze i zdrowo młodziuchnym kolonistom. Aby nastręczyć większej liczbie chłopców i dziewcząt możność tego rodzaju wycieczki wakacyjnej, podzielono kolonię na dwie serye z okresem trzytygodniowym; tak, iż po upływie połowy okresu wakacyjnego pierwsza serya osadników powróciła, a takążsą druga na ich uładła się miejsce.

Kolonja chłopców pomieszczona jest w Hucie, majątku hr. Kińskiego, należącym do dóbr Skol-

skich. Zarząd dóbr ofiarował na pomieszczenie jej bardzo stosowny budynek: leśniczówkę w pięknej okolicy położoną, wpośród lasów, z rozległym na krajobrazy górskie widokiem; czterdziestu kilku chłopców mieści się tu wygodnie. Jest to budynek drewniany, suchy; o szesnastu obszer-nych izbach i wielkiej sali jadalnej, około którego ciągną się kryte krużganki, tak, iż w razie niepogody dziatwa ma podostatkiem miejsca do zabawy i gymnastyki pod dachem. Chłopcy, zdrowi i w doskonałym humorze, przepędzają dni na dalekich przechadzkach, ćwiczeniach gimnastycznych, grze w piłkę, krokieta, strzelaniu do celu i t. p. Przed samym budynkiem płynie górska rzeka Orawa, w której dziatwa w dni pogodne używa kąpeli. Ruch ciągły pokrzepia siły i zdrowie, co widać, nietylko z wesołego humoru i rumianych twarzyczek małych kolonistów, ale także i z tego, że co tydzień każdy malec zyskuje na wadze, i że bez znużenia z własnej ochoty wszyscy przebywają przestrzeń trzynastokilometrową do kościoła parafialnego, przyspiewując po drodze wesołe piosenki,—uszcześliwieni pozwoleniem odbicia takiej pielgrzymki.

Niemniej wesoło i dobrze powodzi się osadzie dziewczęcej. Najmilszą zabawą dziewczątek jest zbieranie kwiatków po łąkach leśnych, z kąd wracają z bukietami kwiecia rozmaitego, postrojone wieńcami i girlandami, w sposób fantastyczny, co nadzwyczaj cieszy dziatwę przyzwyczajoną patrzeć tylko zdaleka na rynku lwowskim na kwiaty przekupniów, pouwiązywane kunsztownie na drucikach, odbierających im świeżość naturalną. Tutaj po polach i lasach mogą je sobie zbierać dowolnie całymi dniami; przystając niemi główki i sukienki; biegać po łąkach ile się podoba... czegoż więcej w tym wieku dziewczęciu do szczęścia potrzeba?

Z prawdziwym żalem dowiedzieliśmy się, że pani Felicja z Wasilewskich Boberska postanowiła zwinąć swój zakład wychowawczy i przenieść się na wieś dla poświęcenia się wyłącznie pielęgowaniu paralityczną niemocą złożonego męża. Jeżeli liczne, z różnych stron dochodzące prośby i nalegania nie zmienią w ostatniej chwili, z rozpoczęciem roku szkolnego postanowienia p. Boberskiej, natenczas Lwów poniesie niełatwo dającą się powetować stratę przez ubytek zakładu, który w przeciągu trzydziestoletniego swego istnienia wychował kilka pokoleń zacnych kobiet, spełniających swe u domowego ogniska obowiązki z tem szlachetnem oddaniem się, z tem ciepłem uczucia i zacnem cnót i zadań obywatelskich pojęciem, jakie umysł ich sobie przyswoił pod kierunkiem tak zacnej i światłej wychowawczyni. W kronice działalności kobiecej praca wieloletnia p. Boberskiej na polu wychowawczem zasługuje na jaknajwzniejsze uznanie, na cześć najwyższą. Datuje się ona z owych jeszcze czasów, kiedy wychowanie publiczne stało na bardzo niskim stopniu i potrzeba było niedostatku jego zastępować własną gorliwością i własną wiedzą pedagogiczną. W zakładach prywatnych koncentrowało się całe niemal wykształcenie młodego pokolenia, zwłaszcza żeńskiego; ale zakłady te, nie mając wytkniętego z góry żadnego systemu i nie znajdując dobrze ułożonych podręczników, na których możnaby było oprzeć wykład udzielanych nauk, były bardzo nieodpowiednie głównym wymaganiom prawdziwego wykształcenia; całe bowiem wychowanie zasadzało się po większej części na rozwijaniu tak zwanych *talentów*, t. j. muzyki i języków, i powierzchownej oglądzie, a o wzbogaceniu wiedzy, kształceniu rozumu i uszlachetnieniu uczucia, mowy prawie nie było, jako o rzeczach drugorzędnych. W owej-to porze, gdy sprawa wychowania żadnych nie doznawała ułatwień, przeciwnie, na każdym kroku natrafiała ze wszelkich stron na przeszkody, pierwsza panna Felicja Wasilewska, dzisiejsza p. Boberska, podjęła trudne zadanie wytworzenia zakładu wychowawczego w prawdziwym tego słowa znaczeniu, w którym-by młode pokolenie dziewczęce czerpało wykształcenie odpowiednie powołaniu kobieci, mającej stać się istotą pożyteczną społeczeństwu, cnót rodzinnych u domowego ogniska aniołem opiekunich. Jawszy się tego wzniosłego, ale żmudnego zadania, zmuszona była sama so-

bie torować drogę i na podstawie przez siebie samą zakreszonego programmatu, stworzyć organizację zakładu, z którego promienie światła coraz szerzej i zbawiennej rozchodzą się w sferach niewieściego pokolenia, tworząc coraz liczniejszy zastęp kobiet, jasno pojmujących swe powołanie i z całym poświęceniem oddających się pracy we właściwym zakresie. Za cel wychowania wytknęła wiedzę prawdziwą, naukę, nie powierzchowną, ale odpowiednią stanowisku kobiety, pożyteczną rodzinie i społeczeństwu, jasne pojęcie obowiązków obywatelskich i zaszczepianie w młode umysły tych myśli wzniosłych, z których się prawdziwie chrześcijańskie wytwarzają cnoty. A jak pomyślny plon ta praca przyniosła, świadkiem ta wdzięczność, jaką dla swej nauczycielki zachowują dawne wychowanki jej zakładu, to uznanie, połączone z przywiązaniem najwyższemu z ich strony, ta, rzecz można, cześć powszechna, jaką sobie swą wieloletnią a pożyteczną zjednała działalnością. Już samą wieść o zamierzonym usunięciu się p. Boberskiej od zawodu nauczycielskiego przyjęto wszędzie ubolewaniem, oceniając należycie stratę, jakąbyśmy ponieśli przez zwinienie jej zakładu wychowawczego.

(Dokończenie nastąpi)

Najnowsza wyprawa

DO BIEGUNA PÓŁNOCNEGO.

Nieprzepartą jest tęsknota, pchająca człowieka ku ostatnim krańcom dostępnego dlań świata. Tak jest w dziedzinie ducha, tak jest w dziedzinie materii — i summa cierpień, istnień ludzkich, poświęconych w bezowocnych dotąd darcjach się ku Biegunowi Północnemu rośnie z rokiem każdym. Nie studzi to jednak zapалу, nie odstrasza, i skoro tylko wyprawa taka ogłoszona kiedy została, nigdy dotąd nie zbrakło chętnych, którzy nie baczą na niebezpieczeństwa, nie licząc ofiar, pozostałych wśród lodów i śniegów północy, pragnęli dążyć w krainy te nieznane. Ostatnia wyprawa na morza podbiegunowe, wysłana przez Stany Zjednoczone pod dowództwem porucznika Greely, dodała świeżo tragiczną kartę do historii tego bohaterstwa zdobywania przez człowieka ostatniego nieznanego kawałka naszego globu. Czy popycha go tak nauka, pragnienie nowych jej zdobyczy? czy raczej nie jest to nieuspioła nigdy w piersi ludzkiej żądza ujęcia, zbadania nieznanego? Załogi okrętowe, prosty lud majtków, ginących na polach lodowych obok oficerów i ludzi nauki, daje odpowiedź na pytanie. Człowiek od pierwszej chwili narodzin swych na ziemi walczy z tajemnicą: zdierać jej zasłony, przebijając się wskrószyć przez nie, to namiętność tak silna, jak głód chleba, pragnienie wody. Legenda utraconego raju cóż nam opowiada? Stary człowiek dzisiejszy, to tensam Adam, który nie chciał spoczywać rozkosznie nad rzekami, płynącymi mlekiem i miodem.

Tragedya odkryć, tam rozpoczęta, ciągnie się przez wieki — i dziś mamy przed sobą jeden jej epizod bolesny. Wspomniana wyżej wyprawa, wysłana przez rząd amerykański, dla obserwacji meteorologicznych, posiadała wszelkie przypuszczalne warunki powodzenia, bo składała się z ludzi doświadczonych już w podobnych przedsięwzięciach i usiłowano korzystać z doświadczenia przeszłości pod względem wszelakim. Zapasy żywności i opału, urządzenie statku, dalek i łódzie, sanie ratunkowe, domy przenośne: wszystko to zostało zgromadzone najstaranniej, bez względu na koszt i nie licząc się z nim nawet. Nie krepowano też wyprawy żadnym, naprzód powziętem, założeniem; dotrzeć w kierunku bieguna najdalej jak można i którędy można: oto były jedyne instrukcje dane porucznikowi Greely. Początkowo szczęście zdawało się uśmiechać podró-

żnikom. Doskonale dobrana, ani trochę zawczesna, ani trochę niespóźniona, pora wyruszenia, morze w sposób wyjątkowy wolne od kry lodowej, pozwoliło wyprawie dotrzeć z bezprzykładną szybkością do zatoki Lady Franklin i ztamtąd to, właśnie trzy lata temu, bo w Sierpniu 1881 r., list pisany przez dowódcę — ostatni jaki otrzymano, był pełen najlepszej otuchy i śmiałych rojeń. Odtąd aż do tej pory nie było już żadnych wiadomości i niepokój o los wyprawy budzić się zaczął; w Sierpniu 1882 r. Stany Zjednoczone wysłały wyprawę poszukującą, która czyniła wszystko, aby się dostać do stacyi wskazanej przez porucznika Greely; ale wszystkie te usiłowania rozbiły się o stan powietrza i wody — o wichry, burze podbiegunowe i lody zamykające statkom drogę. Następnego lata powtórzono to przecież: 1883 r. puszczono się znowu na ratunek zaginionych, ale z dwóch statków, składających tę drugą wyprawę, jeden został zgniecionym przez lody, drugi ocalał cudem prawie, nie powziawszy jednak żadnej wskazówki, nie spotkawszy nigdzie żadnego śladu poszukiwanych, z którymi cóż się działo? Dwa lata przepędzone wśród wiejących lodów, dwie straszne zimy podbiegunowe, przeżyte w obozowisku u Zatoki Odkryć (Discovery Bay) złamały energią nieszczęśliwych. Niedoczekawszy się żadnej pomocy z kraju, straciwszy już nadzieję otrzymania jej, porucznik Greely po naradzie z załogą, postanowił puścić się znów na morze. Nie stracono jeszcze nikogo; cała załoga i sztab officerski, razem 25 osób, żyło dotąd, pomimo przejść i cierpień nieopisanych. Było to rok temu, bo w Sierpniu także powzięto ten nieszczęśliwy zamiar. Obóz u Zatoki Odkryć był o tyle zasłoniętym, o tyle przeciw okropnościom klimatu zabezpieczonym, o ile to jest rzeczą możliwą; teraz zaś, zostawiając to poza sobą, puszczono się na los szczęścia, które już służyć nie chciało. Zwrócono się ku Południowi, ale, niestety, niedaleko się posunięto naprzód: o 150 mil morskich od Zatoki Lady Franklin, o 300, może 400 mil od ostatniej stacyi duńskiej i zatrzymać się znowu musiano, lecz teraz już w innych, strasznych warunkach. Cofnięto się do Przylądka Sabiny i tam na nagim, skalistym wybrzeżu przebyto zimę.

Przebyli ją przecież nie wszyscy. Wyprawa poszukująca znalazła już tylko sześciu żywych, a dziewiętnastu trupów!

Wyprawa ta składała się z dwóch okrętów amerykańskich „Bear” i „Thetis” i z okrętu angielskiego „Alert”, wysłanego też w tym celu przez rząd Wielkiej Brytanii. Walcząc z niepojętymi trudnościami i niebezpieczeństwami, dostano się do Przylądka Sabiny w ostatnim już dniu, w ostatniej chwili mogącej jeszcze uprzęścić ratunek, i telegraficzna depesza, która nadeszła do Nowego Yorku i Londynu, przyniosła straszne wiadomości. Znalezione garstkę nieszczęśliwych na wydmuchu skalistym, pod jedną uchroną namiotu, konających już z zimna i głodu. „Porucznik Greely — donosi depesza — jeszcze mógł się utrzymać na czworakach, był ubrany w kozuch, na głowie miał czerwoną, na drutach robioną szlafmycę, co jeszcze podnosiło przerażający wyraz jego twarzy. Włosy i broda długa, roztargana, wychudłość policzków i zapadnięcie oczu, których szklistość podnosiła blask gorączkowy, słaby głos wydający drżeniem swem zwyciężające go wzruszenie, które chciał daremnie ukryć, — sprowadziły łzy do oczu najtwardziej usposobionych między przybywającymi. Po obu jego stronach leżeli jego towarzysze — konający. Jednym był kapral Ellison, drugim majtek Maurycy Connell; tamten miał obie nogi odmarzniete, ten, młody jeszcze chłopak, umierał z głodu, z osłabienia i zapadł cicho w stan wieczny. Porucznik Greely, dźwignawszy się na ręce i kolana, czytał nad nimi modlitwy dla konających, gdy ratunek niosący weszli pod namiot”.

Dzień jeden spóźnienia: a już byłoby po wszystkim!... Wycieńczenie nieszczęśliwych było tak wielkie, że mógł zesłać wraz z całym ciałem i funkcjonować prawie przestał. Stali się prawie dziećmi — dziećmi nieradnymi, niezdolnymi do żadnej energiczniejszej czynności. Wzruszenie radości wstrząsnęło ich nerwami, ale i to było nie-

bezpieczeństwem. Wyglądali chcieli jeść; wołali, prosili, upominali się o chleb, o mięso, w sposób, któremu ciężko się było oprzeć, a jednak opierać się trzeba było. Dawano im tylko mleko, herbatę, nieco bulionu, dopóki wycieńczony organizm nie uzdolnił się do przyjęcia posilniejszych pokarmów. Porucznik Greely liczył, że znajdzie u Przylądka Sabiny zapasy, zostawione tam przez wyprawy poprzednie: spodziewał się ich 50,000 funtów a znalazł 250.

Wyprawa choć tak ciężko okupiona, nie pozostała jednak bezowocną. Rozszerzono bardzo znacznie wiadomości geograficzne, obserwacje meteorologiczne i astronomiczne są niepospolitego znaczenia, jakkolwiek nauka wiele straciła przez zniszczenie całej seryi bardzo cennych fotografii. W tym samym czasie, co wyprawa amerykańska, wypłynęła też w celach poszukiwań naukowych, jakgdyby międzynarodowa wyprawa europejska, bo wszystkie państwa posiadające marynarkę wysłały jednocześnie statki swoje. Wyjawszy wyprawy rosyjskiej, która miała zadanie najmniej trudne i postanowiła też przepędzić jedną jeszcze zimę u ujścia rzeki Leny, wszystkie już są z powrotem i rezultaty prac ich i trudów zapiszą się nazawsze w rocznikach nauki nowoczesnej; żadna przecież nie dokonała tego, co wyprawa Greelego, która posunęła się o kilka mil dalej w stronę niedotkniętą jeszcze przez stopę człowieka. Na nieszczęście dowódca tej eksploracyjnej wyprawy, porucznik Lockwood, nie zda już z niej sprawy przed nikim na ziemi, bo trup jego spoczął na odpoczynek ostatni pod śniegiem Przylądka Sabiny.

Zal, jaki wypadki te wzbudziły w narodzie amerykańskim, ciężka strata tylu dzielnych i szlachetnych ludzi, sprawiła tak bolesne wrażenie, że opinia publiczna podnosi się surowo przeciw wyprawom podobnym. Zewsząd odzywają się głosy, że będzie to już ostatnia amerykańska wyprawa podbiegunowa, bo było-by to, ze strony tak rządu, jak narodu, barbarzyńskim synobójstwem wysyłać tak ludzi na równającą się śmierci pewnej walki z przemożnymi mocami natury. Ale i w Anglii działo się to samo po okrutnym również końcu wyprawy Franklina; przecież czas zatarł bolesne wrażenie. Duma narodowa działać też tu będzie tak, jak działała w Anglii; przytem człowiek ustawicznie wstępuje w krwawe ślady poprzedników swych na ziemi, nie oglądając się na nie. Każde pokolenie ludzkości, tak jak każdy pojedynczy człowiek, żyje na własny rachunek i doświadczenie przeszłości przepada dla niego: każdy próbuje swojej drogi — skrzydeł swego ducha, każdy musi kochać, pragnąć i cierpieć przez własne pożądanie rzuconego przed siebie ideału.

Krązą pogłoski, że Nordenskiöld przygotowuje wyprawę na podbiegunowe morza Południa. Ma ona przyjść do skutku w roku przyszłym.

Kronika działalności kobiecej.

— W Lignicy dobroczynne stowarzyszenie kobiet zajmuje się bardzo gorąco losem wychodzących z więzienia przestępczyń i dla dostarczenia im pracy w tej chwili stanowiącej, gdy wypuszczone na wolność nie wiedzą, gdzie się zwrócić i co począć ze sobą, wzniesiono tam fabrykę filcowych podeszew. W roku zeszłym 195 tych nieszczęśliwych znalazło tam pracę, dzięki miłośniczej tej pomocy.

— Królowa Angielska przesłała kobiecym szpitalom londyńskim po jednym egzemplarzu książki swojej: „More leaves from our Journal in the Highlands”. Każda z tych książek nosi własnoręczny napis królowej — „Uczciwej kobiety na troję Anglii”, — jak ta dostojna pani pragnie się nazywać.

— Ruch w kwestyi przypuszczenia kobiet do wyborów parlamentarnych nie ustał w Anglii, a nawet, przeciwnie, rozdrażnienie umysłów po-

pycha kobiety do żywszego upominania się o równość praw z mężczyzną. Zebrania i tak zwane mitingi nie ustają w pewnych kołach kobiecych i literatka holenderska, redaktorka pisma dla kobiet, bawiąca w Londynie, pisze o tem w korespondencyach swoich do pism amsterdamskich. Zgromadzenie, na którym była ona obecna, odbywało się prywatnie; w wielkiej sali ustawiono setki krzeseł, w zagłębieniu okna urządzono nieco podniesioną estradę i wobec pań zebranych, a zaproszonych listownie, przemawiało kolejno kilka osób, kobiet i mężczyzn. Pierwszą mówczynią była M-rs Ashon Dilke, wdowa tem dotknięta, że nie posiadała mocy zupełnej nad dziećmi swemi i dodana im opieka była upoważniona do ściślejszego wglądu w ich wychowanie, niżby to miało miejsce, gdyby w miejsce ojca, były utracili matkę; poruszała też namiętnie kwestyą praw macierzyńskich i kwestyą wyborczosci kobiecej, która by doprowadziła do korzystnej dla kobiety modyfikacji praw. Następnie przemawiała żona członka parlamentu, M-rs Mac Laren; ta wykazywała krzywdę, która się dzieje kobiecie na polu pracy i zarobku. Dlaczego kobieta pełniąca tę samą pracę, co mężczyzna, bywa zwykle niżej wynagradzana? Kobieta utrzymująca książki, pobiera zwykle od 20 do 50 franków miesięcznej płacy, gdy mężczyzna dostaje najmniej 50? Odmawiają kobiecie przystępu do wielu rzemioł na zasadzie braku siły: a dlaczego rzemiosła niewymagające tej siły, jak na przykład: zegarmistrzostwo, pozostają wyłącznie w rękach męskich? Z kobietą szukającą pracy, aby żyć, mężczyzna walczy, jak z wrogiem, na przykład czego mówczyni stawiała zajęcie w nowozałożonej pod Londynem fabryce pluszu, gdzie początkowo zajmowano wyłącznie kobiety, które jednak musiały w znacznej części ustąpić, i to nie dlatego, aby praca ich nie była zadawalniająca. Właściciel fabryki posiadał w pobliżu drugą, fabrykę sukna: otóż robotnicy tej fabryki zagrozili mu porzuceniem roboty, jeśli nie usunie z tamtej kobiet. Mrs Mac Laren studiowała wyłącznie w klasach niższych postępowanie mężczyzny, który występuje otwarcie jako współzawodnik kobiety; ale i w klasach wyższych jest to samo, tylko tu hypokryzja ratuje pozory. Następnie przemawiało kilka jeszcze osób; Hollenderka zauważyła, że niezawsze słusność była po stronie tych adwokatów praw niewieści. Nie dość uwzględniano przeszłość i historyczny rozwój pracy, w której mężczyzna niezaprzeczenie zajmował miejsce, obecnie poszukiwane przez kobietę. Więc też toczy się tam teraz smutna walka o byt; drugostronnie zaś czuwa myśl zachowawcza, pilnująca praw rodziny i moralności, która jest z niemi złączona. Hollenderka namiętnie to uniesienie kładzie na karb rozdrażnienia, które zwykle wywołuje walka.

— Wyszła świeżo po francuzku przez angielską autorkę napisana książka: „La femme médecin aux Indes, par M-me Frances Elizabeth Hoggan, docteur en médecine“. M-rs Hoggan studiowała w Paryżu i tam się doktoryzowała.

— Francuzka siostra miłosierdzia, według zakonu, Siostra Ambrożyna, według świata M-me Nonant, otrzymała Krzyż Legii Honorowej. Młodo owdowiawszy, wstąpiła ona do Zgromadzenia „Opieki Maryi“ i przez lat pięćdziesiąt służyła ludzkości w szpitalu kobiet nieuleczalnych w Tours. Gdy sędziwej już, siedemdziesięcioletniej, przyniesiono tę oznakę godności, przyjęła ją bardzo spokojnie, prawie smutnie.—Jam jest z rozkazu Chrystusa i wierna Jego przykazaniu miłości, służebnicą bliźnich moich, i co mi po tym zaszczyt? rzekła. Działo się to w sali szpitalnej: przyjmawszy order z ręki prefekta, siostra Ambrożyna powróciła natychmiast do zajęcia swego: opatrywania młodej dziewczyny, której maszyna jakas zmiażdżyła obie nogi.

— Sędziwa wdowa po francuzkim kompozytorze Halevy, sama niegdyś utalentowana rzeźbiarka, zmarła w Paryżu. W nagrodę artystycznych zasług, tak jej męża, jak i jej samej pobierała ona od rządu francuzkiego pensyą roczną 5,000 franków. Popiersie jej męża, zdobiące „foyer“ paryskiej Opery Komicznej, wyszło zpod jej dłuta.

Zmarła miała dwie córki; jedna z nich jest wdową po Jerzym Bizet, twórcy opery „Carmen“.

— Akademia Paryzka po długich i namiętnych naradach nie posłała, jak tego po niej żądano, deputacyi do La Châtre na uroczystość odsłonięcia tam pomnika Sanda. Przyczyna, którą publicznie podano, wyraziła, że nigdy jeszcze Akademia nie uczciła w sposób podobny osoby, która by nie była członkiem Instytutu Francuzkiego; ale odpowiedź to tylko urzędowa: w gruncie rzeczy chodziło o to, że Sand, czyli Aurora Dudevant, nie tylko w pismach swoich, ale i w życiu nie przedstawiała takiej postaci moralnej, która by zasługiwała na hołd tego rodzaju. Zatem geniusz tej kobiety nie mógł jej wszystkiego zastąpić i nie starczył na wszystko. Nietylko dziś, przy obrachunku pośmiertnym, który zwykle bywa surowszym, ale za jej życia, za dni chwały i szeroko działającego wpływu, już doznawała tego. Niegdyś jeszcze, za panowania Napoleona, około r. 1860. ogłoszono konkurs na książkę o moralności, służyć mającą na użytek klas ludowych; Akademia, której sąd był powierzony, przyznała pierwszą nagrodę Sand — przyznała i cofnęła natychmiast po otworzeniu koperty z nazwiskiem, uważając za rzecz nieprzyzwoitą, aby Lud Francuzki, kobieta tego ludu dostawała prawo moralne, kreślone przez autorkę „Floriana-Floriani“. Posąg wzniesiony w La Châtre przechodzi wielkość naturalną i jest z najczystszej marmuru Carrara. Sand nadzwyczaj podobna, taka, jaką była nie w starości już, ale w pełni sił i sławy, to jest w r. 1842 a w trzydziestym ósmym swego życia; siedzi na ławce z darni kwiatów, w jednej ręce trzymając pióro, w drugiej otwartą książkę. U stóp jej napis: „Jerzy Sand“; ale na piedestale wypisane jest prawdziwe nazwisko, panieńskie i z męża: „Armantyna, Lucylla, Aurora Dupin, baronowa Dudevant“—poniżej spis jej dzieł najznakomitszych. Twórcą pomnika, który zadowolnił tak sztukmistrzów, jak przyjaciół, jest Aimé Millet.

— Margrabina de Bois Herbert bogata pani ze starej arystokracji francuzkiej, przybyła do Marsylii w pierwszych dniach Sierpnia i przyjęła obowiązek pilnowaczki chorych w szpitalach dla cholerycznych.

— W Tulonie, w komitecie cholerycznym, znajdowało się, prócz Sióstr Miłosierdzia, 56 kobiet—w liczbie tej 16 młodych panien.

— Akademia w Barcelonie przyznała księżnie Dora d'Istria medal zasługi, za zbiór legend i ludowych pieśni hiszpańskich, pomieszczony w jej dziełach.

— W Badenii, pani jakaś, która pragnie pozostać bezimienną, ofiarowała 100,000 marek uniwersytetowi w Heidelbergu, jeżeli otworzy kobietom przystęp do wykładów swoich. Uniwersytet odmówił.

— Amerykanka, miss Katarzyna Wolfe, ofiarowała się pokryć kosztą projektowanej od lat kilku, a dla braku środków nieuszkodzonej dotąd, amerykańskiej wyprawy naukowej do Ruin Babilonu. Kierownikiem wyprawy jest uczony starożytnik, dr. Wiliam Hayes Ward z Bostonu.

— Dziewięćdziesięcioletnia wdowa sławnego niemieckiego astronoma Fryderyka Wilhelma Bessel, w dniu 22 Lipca roku bieżącego jako w dzień setnej rocznicy urodzin swego męża, otrzymała od Berlińskiego Geodetycznego Instytutu list winszujący jej, że dożyła dnia pełnego dla niej słodkich wspomnień. Sędziwa ta staruszka była niegdyś tkliwie kochającą, rozumną towarzyszką uczonego męża i zdążyła do uszanowania świata, które ją otacza, ta pamięć o niej nieodstępująca jej w tak późnym wieku. W adresie instytutu berlińskiego mieści się ustęp: „Udziałem twoim, pani, jest to rzadkie szczęście, że żyjąca doczekałaś się nieśmiertelności swojej z nieśmiertelnością drogiego ci człowieka złączonej. Kto w korespondencyi męża twego będzie śledził rozwój jego myśli, ten odnajdzie i przed oczyswoje postawi obraz wiernej współniczki jego pracowitego, niezmęczonego naukowej działalności oddanego istnienia—obraz szczęśliwego, wesołego ożywionego domowego życia, które krzepiło człowieka i uczonego, umożliwiając pracę jego podniosłych, wysoko zwróconych myśli“. — Co za

zaszczytne, co za drogą dla serca kobiety świadectwo!...

— W Aussig zawiązało się stowarzyszenie kobiet i urządziło pewnego rodzaju, nie tanią, ale bezpłatną, kuchnię „Suppenanstalt“ dla biednych, do szkoły uczęszczających dziewcząt. Przez pierwsze dwadzieścia dni wydano 573 czyli dzieńnie 286 porcyi posilnej zupy z jarzynami. Stowarzyszenie bardzo grzecznie pozwala zwiedzać podróżnym nawet zakład swój, bardzo prosto, ale schludnie urządzony; opłaca się to małym datkiem, jeżeli ktoś większego dać nie chce, lub nie może. Mnóstwo pań naszych przejeżdża przez Aussig, dążąc tą romantyczną, prześliczną drogą do wód czeskich, lub zwiedzając Szwajcaryę Saską; bogdajby się zapatrzyć chciały na ten dobry przykład miłości czynnej bliźniego!

— W Wiesbaden założono kasę pomocy dla chorych kobiet, „Frauenkrankenkasse“. Wkład pierwszy jest 50 fenigów, a obowiązkowa składka miesięczna 60. Za to chora stowarzyszona oprócz porady doktora i bezpłatnego lekarstwa, otrzymuje 70 fenigów dziennej zapomogi. Liczy się na członków honorowych; liczy się, że przy tak małej opłacie, liczba stowarzyszonych będzie znaczna, i to pozwoli towarzystwu istnieć i dobroczynną swą działalność spełniać.

ROMANTYZM WE FRANCYI

przez

JERZEGO BRANDESA

w streszczeniu podał

Edward Lubowski.

(Dalszy ciąg—Ob. Nr 34).

XX. De Vigny.—Hugo.—Ponsard.

Podczas gdy *Antony* był romantycznym paroxyzmem, *Chatterton* był jedynym wielkiem powodzeniem A. De Vigny, a zarazem wprowadzeniem romantycznej elegii na scenę. Dwa te ulubione dramata pokolenia z 1830 r. odpowiadały sobie tak, jak odpowiada kult geniuszu umiejętności, społeczeństwu dla cierpiącego—zapałowi dla działającego. A. De Vigny dzielnym swym historycznym dramatem *La maréchale d'Ancre* (1834 r.) nie zyskał powodzenia. Przyczyną była tożsamość typów, z czego się pokazuje, jakdalece energiczne piętno wyciskała szkoła na najróżnorodniejszych indywidualnościach. *Chatterton*, wystawiony w r. 1835, przedstawia ideę, (której poprzednio już dotknął w „Stello“) nieszczęsnego położenia poety prawdziwego wpośród społeczeństwa. De Vigny uważa poetę jako istotę najwyższą na ziemi, a przytem za chorego, zależnego całkiem od swej wyobraźni. Nie jest on zdolny do niczego, co nie stoi w związku „z jego boskiem posłannictwem“, a zwłaszcza nie umie zarabiać; umiałby zresztą zarabiać, ale zabiłby przez to bożą iskrę w sobie. Nie trzeba więc dopuścić, ażeby posłannik Boga zniżał się do ziemskiej roboty. Dramat ten apeluje tak silnie do uczucia litości, że ginie tragiczne wrażenie; za nadto lirycznie ujmując się za swym bohaterem; za nadto on tylko jeden i bohaterka chcą być podziwiani, naokoło nich panuje proza, głupota i brutalstwo. Dla poetów tego rodzaju, co Vigny, a w Niemczech Novalis, w Danii Andersen, Goethe napróżno napisał swego *Tassa*. Dzisiejsze czasy znużyły się osnową takich dramatów; nie możemy już współczuć z *Chattertonem*, który woli w gwiazdach czytać, niżeli przyjmując niepoetyczną posadę. I dziś już z uśmiechem tylko słuchamy tego, co przed 50 laty wzruszało wszystkie serca.

Romantyzm był istotnie za liryczny w swym rdzeniu, ażeby mógł powołać do życia dzieła dramatyczne niespożytej wartości. Przekonać się o tem łatwo, gdy się rzuci okiem na dramata na wyższego ze wszystkich liryka. W. Hugo dramata dadzą się porównać z tragediami Oehlen-

schlägera. U obydwóch postaci narysowane tylko w rebach, a brak im bardzo wiele tego, co daje trochę zupełnego człowieka; podtrzymuje je tylko silna liryka i podniosły pathos. Hugo stoi trochę bliżej jeszcze życia; Hernani przypomina dowódców band wandejskich. a jeśli Ruy Blas z lokaja zostaje ministrem, to skok ten jest mało co mniejszy od tego, który uczynił Rousseau, stawszy się sławnym pisarzem. Lecz wszystko to znika wobec zamiłowania Hugona w przesadzie i nadzwyczajności, oddalających wszelką rzeczywistość. Skłonność jego do lirycznej exaltacji była tak silną, że co jemu wydawało się tylko wielkiem, to nam wydaje się potwornem. Pojęcie też jego o człowieku jest w jego dramatach nawskróś liryczne i przypomina psychologią, całkiem zresztą odeń różnego poety, to jest Lamartine'a w *Jocelynie*.... Triboulet naprzykład (*Le roi s'amuse*) zepsuł się przez to, że był przedmiotem szyderstwa. Ubóstwia on córkę i dlatego chce się zemścić. Marion Delorme sprzedawała cześć swoją tysiącokrotnie, miłość wszakże oczyszcza ją; lecz gdy Didiera prowadzą na śmierć, staje się nanowu dawną Marion, podłąc się.... Lukrecya Borgia żyła w samych zbrodniach; ale ma syna którego kocha,—dla niego gotowa zaprzestać dotychczasowego życia. Obrażono ją jednak i w gniewie posługuje się zwykłym swym środkiem: truje wszystkich swych wrogów, a w ich liczbie i własnego syna.... Wszędzie zatem przedstawia W. Hugo duszę ludzką zepsutą złemi namiętnościami, a mimo to niepozabawioną lepszych uczuć; ale ilekroć wznieść się chce wyżej, straszliwa przeszłość przyniata ją i do dawnego stanu wtłacza. Wszędzie jedno i to samo pojęcie tragiczności.... atoli wylew liryki i pięknie brzmiący pathos nie są dostatecznymi żywiołami do zbudowania dramatu. Wymaga on podstawy z rozsądku i równowagi duszy, albo, w ich braku, zdrowego rozumu i smaku, które nigdy nie zawodzą. Tego jednak brakło W. Hugo, a jego niedostatki zwiększały się w miarę upływu lat. Stało się z nim, co się dzieje z tylu innymi artystami: co z początku było stylem, przeszło później w manierę. Skończył też, jako autor dramatyczny, na tem, że dostarczał parodii z siebie samego. Zmysłu komiczności nie miał nigdy, a skłonny był zawsze dopatrywać się wzniosłości w kolosalnem. Dopuścił się tego w najwyższym stopniu w *Burggrafach*. Sam już spis osób wywołuje uśmiech: jeden Burggraf ma lat 100, syn jego Magnus 80, Hatto 60 lat, syn Hatto 30 lat. Stuletni burggraf jest mimo to najruchliwszym, a do syna odzywa się: „Młokosie“ i poeta nie śmieje się z tego bynajmniej. Wszyscy ci panowie deklamują na wyścigi z żebrakiem mającym 92 lat, którym jest nikt inny tylko Fryderyk Barbarossa. Nieprawdopodobieństwa i absurda roją się jak w ulu. Poroniony ten płód wyprężonej nad miarę fantazyi zrobił na scenie w r. 1843 *fiasco*.

Podczas przedstawienia zaczęto gwizdać. Wierne przybiega do Hugona i zawiadamia go o tem. Hugo każe, jak Napoleon, zawołać swojej gwardyi, mówiąc: „Zwołaj młodych ludzi“, na co ten ze spuszczonym wzrokiem odrzekł: „Niema już młodych ludzi“. Romantyzm przed roku 1830 przeżył się był już wówczas, i nastąpiła nienukionna reakcja. Reprezentował ją w owej chwili Franciszek Ponsard tragedją swoją: *Lukrecya*. Styl surowy przypominał Racine'a, a język romantyzmu znudził się już. Ponsarda utwór był jakby dalszym ciągiem starej klasycznej tragedyi. W pierwszym zapale nie spostrzeżono, że starożytny przedmiot traktowany był nowoczesnie, że młody autor ciepły koloryt swego dramatu zawdzięczał W. Hugo i że oryginalność nowego utworu w rzeczywistości była niewielką. Zauważono tylko, że dramat był prosty i zdrowy. I oto wszystko, co we Francyi było klasyczne i katolickie, zaśpiewało hymny pochwalne, nawet krytyk Vinet przyłączył się do chórow. Siódmego Marca 1843 r. przepadł *Burggrafowie*, d. 22 Kwietnia t. r. przyjęto z zapalem *Lukrecyę*. Biednemu Ponsardowi zdawało się, że ma sławę zapewnioną na wieki. W roku też 1838 debiutowała Rachel, przedstawicielka klasycznej reakcji na scenie. Pokazało się że sławna artystka znosić nie może ról romantycznego repertoa-

ru, ale zato wskrzesiła do życia stare tragedye, które tak wyszydził był romantyzm. Ifigenia, Merope, Emilia, Chimene, Fedra, weszły nanow na scenę, przedstawione z taką prawdą i szlachetnością, że widzowie we wściekłość wpadali na samą myśl, iż romantycy śmieli zohydzić te narodowe arcydzieła.

W zapale jednak dla Rachel zapomniano, że geniuszem jednej artystki nie odżyje klasyczna formuła, a „L'école du bon sens“ nie rozwinęła się nigdy do znaczenia szkoły poetycznej. Ponsard wreszcie, pomimo, że Rachel grała w *Lukrecyi*, był talentem drugorzędny, a utalentowany następca jego Emil Augier, który swoje młodzieńcze dramata pisał w pokrewnym Ponsardowi duchu, porzucił później ten styl zbyt trzeźwy. Augiera *Gabriela* jest najpiękniejszym dziełem „szkoły zdrowego rozsądku“. Jakkolwiek szkoła ta nie zasłużyła na zarzuty, na ostre napaści A. Vacquerie i T. de Banville, jednak ma takie tylko znaczenie, że wskazuje chwilę, w której dramat romantyczny sam się już przeżył.

XVI. Ruch idei socjalno-politycznych i poezya. Saint-Simon, jego szkoła i wpływ.

Możnaby pracę ukończoną przez wielką literacką szkołę—jaką była romantyczna we Francyi—porównać z odbudową całego miasta, tylko, że literatura budowana jest na gruncie słabemi tylko tamami bronionym od zapomnienia. Wnet spostrzedz można, że się woda wciska i podnosi coraz wyżej aż nareszcie nikną niskie budowle i tylko najwyższe pemniki sterczą ponad rozlanemi wodami. Tym pomnikom nadały trwałość głębokie idee, oraz doskonałą zgodność między wyborną formą artystyczną a ideą; atoli rzecz rozbija się o to, czy poeta był całkowicie przenikniony duchem swego czasu, bo duch tylko ocala od zaguby i zapomnienia. Można więc zauważyć we Francyi trzy główne kierunki romantyzmu:

a) Usiłowanie wiernego przedstawienia rzeczywistości bez względu na to, czy wierność trzymała się historycznej przeszłości czy nowoczesnego życia. Jest to dążenie do prawdy.

b) Dążenie do doskonałości formy, bez względu na to, czy ono dotyczyło plastyczności, czy malowniczości w wykonaniu, i to jako ściśle metrycznej harmonii, albo jako zwiększłej prostoty w stylu przeciwnym. Jest to miłość dla piękna.

c) Nareszcie reformatorski zapal dla wielkich, religijnych lub poetycznych idei, etyczne dążenia w granicach sztuki. Jest to zmysł dobra.

Te trzy główne kierunki scharakteryzowały sztukę tej pełnej życia, artystycznej szkoły, a każdy z nich wytworzył w danym czasie dzieła wielkiej wartości. Niewszystkie jednak posiadają przymiot zachowania swych twórców żywo w pamięci. Wszystkie kierunki sztuki wydały dzieła, które przewyższyły swych twórców, dlatego, że nie zdołały zdobyć dla nich sympatyj, i przeciwnie są pisarze, których osobistość żywo stoi przed oczyma potomności, chociaż większość ich dzieł została zapomniana.

Szkoła romantyczna, może wykazać twórców i dzieła jednego i drugiego rodzaju. Posiada pisarzy takich jak: Balzac, Mérimée i Gautier, którzy zachowywali się obojętnie względem społecznych i politycznych dążeń swej epoki, i posiada poetów, którzy ze współczuciem patrzyli na reformatorskie usiłowania w granicach swej ojczyzny lub ludzkości... W zastępie z r. 1830 było wielu takich, którzy działali w drugim kierunku. Złe też uczyniono, zarzucając ich utworom tendencyą, bo to, co tu uchodziło za nią, było tylko duchem wieku i jego pojęciami, te zaś pozostały zawsze krwią żywą każdej prawdziwej poezyi. Chodzi tylko o to, ażeby żyły, w których ta krew płynie, zbytnio nie nabrzmiały lub nie nabrały koloru czarnego. Już w r. 1830 wybuchają ze wszystkich stron reformatorskie pojęcia.

Zacząć tu trzeba od Saint-Simona. W hrabi Saint-Simon (ur. 1760) potomku sławnego księcia pamiętnikarza—pozyskała Francya prawdziwego

Fausta, Fausta o niespokojnej genialności a pragnącego świat cały poznać teoretycznie i praktycznie.

Cel jego wyższy jest i dążenie wyższe od celów Goetowskiego Fausta. Plany jego—przebiecie kanału Panamy—przypominają działalność Fausta pod koniec życia (w części II-giej). Saint-Simon był oficerem, światowcem inżynierem, filozofem, uczonym, ekonomem, nareszcie twórcą nowej religii, bardzo uzdolnionym historykiem z wszelkimi znamionami geniuszu. W młodości stracił majątek, pomimo, że tytuły i prawa para Francyi, oraz granda Hiszpanii wraz z sumą 500,000 franków wydawały się już zapewnionem jego dziedzictwem. Ale ojciec jego poróżnił się z księciem de Saint-Simon i sukcesya przepadła. Syn wpadł w najstraszliwsze ubóstwo, pracował jako kopista w lombardzie 9 godzin dziennie za 1,000 franków, a w 1812 roku musiał żyć wodą i chlebem. Pewnego dnia chciał z rozpaczyny odebrać sobie życie, wystrzelił sobie jedno oko. Nawet to usiłowanie samobójcze jest rysem faustowskim.

(Dokończenie nastąpi).

DROBNE LISTKI.

— Sławny niemiecki podróżnik po Afryce, Dr Schweinfurth, przybył z Kairu do Berlina, celem porobienia potrzebnych przygotowań do podróży, wskrós pustyni egipskich, którą zamierza odbyć tej zimy, jako wysłannik Berlińskiej Akademii Umiejętności, głównie dla trygonometrycznych i topograficznych pomiarów. Z ostatniej swej wycieczki do Afryki, odbytej na żądanie berlińskiego muzeum mineralogicznego, a która trwała tylko dni czterdzieści, Dr Schweinfurth przywiózł wielki zbiór kamieni, kruszców, przedmiotów kopalnych, zebranych głównie w prowincyi Fayum. Z powodu niespokojnego stanu kraju miał on ze sobą orszak zbrojnych Beduinów. Celem jego podróży był szczególnie starożytny Labirynt, a raczej jego ruiny, położone nad jeziorem Merys, w zachodniej stronie Fayum. Dążąc tam, Dr Schweinfurth odkrył po drodze pogrzebane w ziemi ruiny bardzo starożytnej świątyni; na nieszczęście, żadna wskazówka, żaden napis nie daje się domyślić, z jakiego czasu ruiny te pochodzą.

— Angielski uczony, Dr Edkins, w ostatnim numerze londyńskiego miesięcznika, poświęconego rzeczom chińskim „Chinese Recorder“, pisze, że na 2,200 lat przed erą chrześcijańską, Chińczycy posiadali już sztukę pisania, mieli rok składający się z 356 dni, z miesiącami przestępnymi; mieli astrolab, zodyak, gammę muzyczną o dwunastu tonach, służącą za podstawę do mierzenia długości i ważenia ciężkości, mieli wreszcie feodalny system społeczny.

— Chrześcijaństwo bardzo szybko rozszerza się w Japonii, i tu nie dzieje się tak, jak w Indyach, gdzie działanie wychodzi od misjonarzy i skierowane na lud, krzewi naukę nowej religii między klassami niższymi. W Japonii ruch jest samodzielnym; Ewangelia przyjmowaną jest przez ludzi myśli i nauki, przez starą arystokracją japońską, przez młodzież kształcącą się w Europie, a zwłaszcza przez tych, którzy wysyłani tam byli dla studyowania cywilizacji europejskiej. Wymieniają między innemi uczonego statystę, Iti-Hirabusi, który po pewnym czasie pobytu w Niemczech, wróciwszy do ojczyzny, napisał i złożył na ręce Mikada memoriał, w którym, prócz strony religijnej, silnie przemawia za chrześcijaństwem ze względów jego moralnych i społecznych oddziaływań. Kobiety biorą w tym ruchu udział bardzo znaczny. Cześć Matki Boskiej wzrusza je pociągą.

— W archiwach Marburga znaleziono sto pięćdziesiąt nieznanych listów króla Gustawa Adolfa, które wkrótce zostaną ogłoszone drukiem.

— W Zürichu ustanowiono konkurs na dzieło ludowe przeciw pijaństwu. Ma to być „Katechizm dla młodzieży, zwalczający nadużycie napojów wysokokowych“. Pytania i odpowiedzi z potrzebnymi objaśnieniami powinny dawno znane prawdy ludowi przypomnieć, i w nowej formie słowa je podając, rozpowszechnić między klasami średniego wykształcenia. Stan nauczycielski i duchowni Szwajcaryi podnieśli tę sprawę. Sędziów będzie pięciu, tak z niemieckich, jak francuzkich kantonów; do konkursu stawać mogą i cudzoziemcy; nagroda wynosi 300 franków, które podzielić się mają między trzy najlepsze prace. Pierwsza otrzyma 150, druga 100, trzecia 50 franków nagrody, co nie odbiera autorom prawa własności i drukowania dzieła swego. Terminem konkursu jest dzień 15 Sierpnia roku przyszłego; rękopisma, ze zwykłymi przy konkursach formalnościami, przesyłać należy pod adresem: „Redaction des *Philantrop* in Zürich“.

— Statystyka Szwajcaryi wykazuje taki stan przemysłu hotelowego w tym kraju, ściągającym największą liczbę podróżnych. Jest w Szwajcaryi 1,002 hoteli, posiadających razem 58,137 łóżek gościnnych i zajmujących 16,022 osób posługujących. Hotele te przedstawiają wartość 319, 500,000 franków; w 1883 roku za samo pożywienie i napoje zapłacili podróżni hotelom owym 23,800,000 franków, razem zaś za wszystko 52,800,000 franków, co po odtrąceniu wszelkich kosztów przyniosło przedsiębiorcom hotelowym czystego zysku 16,000,000 franków, czyli że kapitał wyłożony przyniósł 5 od 100. Według wykazów statystycznych z 1861 roku Szwajcarowie sami przedstawiali wtedy największą liczbę podróżnych, dziś zmiana jest w stosunku odwrotnym. Od 1871 największego kontyngensu podróżnych podróżnych dostarczają Anglicy, dalej idą Amerykanie, Niemcy, Francuzi i Włosi. Zatem Szwajcaryja zyskuje rokrocznie przez przemysł hotelowy niemal 16,000,000 franków od zagranicy, dlatego głównie, że przy tak ciężkiej pracy, jaką jest tu przemysł, przy wielkiej podróżnych wygodzie i ułatwieniach wszelkiego rodzaju, zadawalniają się tym procentem 5 od 100. Ciekawą byłaby statystyka naszych hoteli w miejscach kąpielowych i stacyach leczniczych, jak Ojców, Zakopane? Tatry mogłyby ściągnąć taką samą ilość podróżnych, jak Szwajcaryja; Anglicy już tam zaglądać zaczęli, ale pewno—uciekają.

— W czasopiśmie niemieckim: „Magazin für die Literatur“, znany Albert d'Abrest, ostrzega wydawców niemieckich, aby nie nabywali listów znalezionej w papierach Heinego. Listy te posiada obecnie Henryk Julia, tensam, który był również posiadaczem niedawno ogłoszonych *Pamiętników* Heinego, gdzie publiczność nie znalazła nic ciekawego, bo osoby interessowane postarały się usunąć z nich to, co było skandalem. Otóż i te listy są takiej samej natury. Wydanie ich całkowite kompromitowałoby wiele dziś jeszcze żyjących osób, które korespondowały z Heinym, a ci nawet, którzy już pomarli, uszanowani być powinni przez wzgląd na ich rodziny. Paweł d'Abrest kładzie na to nacisk, że przeciw takiej literaturze skandalu bronić się należy, na drodze prawa obrażonej moralności publicznej. Wrazie wydania wspomnianej korespondencji wydawca byłby niewątpliwie narażony na wiele procesów.

— Brat zmarłego poety Longfellow'a, Samuel Longfellow, przygotowuje do druku wydanie pamiętników i korespondencji nieboszczyka. Tu już nie spekulacja będzie przewodniczyć zajmującej publikacji.

— W Londynie wśród ciężkiej zimy 1870 r. student medycyny, Irlandczyk rodem, tak ubogi, że musiał zarabiać na życie przez dawanie lekcji prywatnych, umiał jednak znaleźć sobie tyle czasu, aby codziennie poświęcić chwilę jakąś późnego już wieczora dla nauczania ubogich dzieci irlandzkich w szkołach wieczornych. Raz, wracając do domu o późniejszej niż zwykle godzinie, spotkał na ulicy, u zamkniętych już drzwi przytułku nocnego dla biednych, skulonego i gorzko płaczącego chłopca. Mróz był silny i dziecko trzęsło się od zimna; zapytane: co tu robisz? odpowiedziało, że w przytułku już miejsca dla niego nie było. — To idź do domu, do rodziców — rzekł młody medyk, obwiązując własną chustką gołą szyję dziecka. Ale pokazało się, że chłopiec matki dawno już nie miał, ojca nigdy nie znał, a dom jego nie istniał nigdzie, i przez kilka dni poprzednich sypiał na jednym z rynków, w worku handlarza owoców, gdzie było trochę słomy. Dziś worek został sprzątnięty, znikła zatem jego nocna uchrona i liściowy młodzieniec zabrał biedaka do siebie, przenocował, rano dał śniadanie i kazał przyjść na noc następną. W rozmowie z malcem, który stawiał się na czas oznaczony, student dowiedział się, że chłopiec zna takich jak on opuszczonych dzieci mnóstwo, mnóstwo wielkie. Stolica Anglii dała im nawet nazwę specjalną: „Arab-Boy“ — „chłopiec Arab“, znaczny sierotę koczującą po mieście, nienależącą do nikogo, nie mającą żadnego stałego zamieszkania. Pocciwy opiekun przysługującego malca kazał mu raz zaprowadzić się w takie miejsce, gdzie jemu podobne biedactwo nocuje i w pewnej zagrodzie otwartej, tylko dachem przysłoniętej, ujrzał kilkanaście śpiących dzieci. W dzień były to składy jakieś, w nocy stróże miejscy pozwalali przez miłosierdzie przytulić się tu biednym Arabom. Szlachetny młodzian popatrzył smutnie na uspioną gromadkę i westchnąwszy odszedł, nie budząc ich; ale noc ta zadecydowała o przyszłości jego życia. Dziś jest to w całej Anglii znany filantrop, Dr Barnardo, opiekun małoletnich włóczęgów, głównie Irlandczyków, nieodpychający jednak i innych biedaków, zbieranych z ulic, których w przytułku swym mieści—gdzie pod kierunkiem uzdolnionych majstrów pewna liczba uczy się w warsztatach przytułku rzemiosł różnych. Krnąbrniejszych, trudniej ulegających nieznanemu im dotąd karności, oddaje Dr Barnardo do przeznaczonych dla takich biedaków szkół karnych, mieszczących się na okrętach, z kąd już zbiedz nie mogą (Schoolships) i z kąd wychodzą na uczciwych, dzielnych majtków. Z innych tworzy on, według zdolności, grupy: małych posłańców ulicznych (City messengers Brigade), rąbiących drzewo (Wood chopping Brigade), wreszcie czyszczących na ulicy obuwie przechodniów (Shoe-blank Brigade). Dzieci te wszystkie uczą się jednak w wieczornych i niedzielnych szkołach, a zarabiają tyle swoim przemysłem, że często matki: wdowy, kobiety opuszczone, zwłaszcza Irlandki, przychodzą do Dra Barnardo z prośbą, aby przyjął pod skrzydła swoje ich synów, których groź zarobiony im jeszcze zasiłek udziela. Dr Barnardo nie mógł mieć jednak tylko przez pół liściowego serca: obok przytułku dla chłopców, wznosił przytułek dla dziewcząt, a i tu przypadek niby—wzruszenie serca w piersi szlachetnego filantropa, dało początek dziełu miłosierdzia. Chłopiec jeden, w chwili głodu i chłodu i głodu przygarnięty przez Dra Barnardo, nazajutrz domagał się z płaczem wolności, bo nie chciał rozłączyć się z siostrą, która bez niego pozostałaby samotnie na bruku londyńskim. W tym samym czasie Dr Barnardo wyrwał dwie nie-

szczęśliwe dziewczynki z rąk ohydnej żebraczki i w rok po wzniesieniu dobroczynnego przytułku dla chłopców miłosierna ręka poczęła zbierać z ulic londyńskich opuszczone dziewczęta. W r. 1873 Dr Barnardo umieścił w wielkiej, blisko Londynu położonej, mleczarni dwadzieścia dziewcząt dla nauki mleczarstwa. W r. 1878 już ich było pod jego opieką 140, grupami po 20 rozmieszczanych po wsiach i folwarkach. We wsi dużej, na to obranej, oddawano je pojedynczo lub po dwie, po trzy, do domu dzierżawcy, gdzie gospodyni z pracy i uczciwości słynęła. Z początku płacono od nich; wkrótce utrzymywano je za ich pracę; następnie dziewczę otrzymywało zasługi, których część pewną składało do kasy oszczędności na zapas tej chwili, gdy pełnoletnia, to jest 21 lat licząca, wychodziła z pod opieki dobroczyńcy swego, mając przed sobą świat otwarty. Uczciwie pracy nauczona, mogła iść śmiało przed siebie. Dziewczynki prawie przeważnie są narodowości irlandzkiej. Dr Barnardo radzi im wracać do kraju, gdzie szerzyć mogą naukę dobrego gospodarstwa.

20 tomów za rs. 6.

Tanie zbiorowe wydanie

POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO.

W roku bieżącym

wyszły tomy 21 do 33-go

i zawierają powieści następujące:

Bracia rywale,
Żeliga, w 2-ch tomach,
Pan na czterech chłopach,
Syn marnotrawny, w 2-ch tomach,
Ostatnie chwile księcia woj. wody,
Z życia awanturnika, w 2-ch tomach,
Brühl, w 3-ch tomach,
Pamiętnik panicza.

W roku bieżącym wyjdzie jeszcze 7-m tomów

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie (za 20 tomów) rs. 6, z przesyłką rs. 7
Półrocznie (za 10 t.) rs. 3, z przesyłką rs. 3 k. 50
Kwartalnie (za 5 t.) rs. 1 k. 50, z przesyłką rs. 1 k. 75.

Tomy 1 do 20-go

wydane w roku 1883-cim

są jeszcze do nabycia

w Warszawie za rs. 6; z przesyłką rs. 7.

Do dzisiejszego numeru *Bluszczu* dołącza się arkusz 2-gi i 3-ci powieści pod tyt.: **Dwie.**

TREŚĆ. Piosnki Różowe, (poezya), przez Szczęsną. — Zjazd Towarzystwa Pedagogicznego w Tarnowie, (dokończenie). — **Któs,** powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Korespondencya zagraniczna, Lwów. — Najnowsza wyprawa do bieguna północnego. — **Kronika działalności kobiecej.** — **Romantyzm we Francyi,** (dalszy ciąg), przez Edwarda Lubowskiego. — **Drobne listki.**

Dodatek obejmuje: 2-gi i 3-ci arkusz powieści p. t.: **Dwie,** przez M. Georgianę Craik. — Opis rycin z 37 rysunkami. — **Sekrety gospodarskie.** — **Dyspozycyja stołu.**

Warszawa.—Druk S. Orgelbranda Synów, ulica Bednarska Nr 20.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 22 Августа 1884 года.